

XXX. WĘGIERSKIE WĘDRÓWKI.

*Ewa Peplińska - Chałaj.
Prezes TPPW w Łodzi*

A. Obóz w Borszi.

Pierwszą informację o organizowanym obozie w Borszi dostaliśmy w ubiegłym roku (1994), ale było już późno i prawie wszyscy mieli zaplanowane wakacje. Przyrzekliśmy sobie jednak skorzystać z takiej możliwości w roku następnym. Już wiosną wysłaliśmy pierwsze zapytanie do Borszi. Nadeszła odpowiedź z podanymi warunkami. Ochotnicy znaleźli się w XIII Ł.D.H.. I mimo, iż nie wszystko w przygotowaniach przebiegało prosto - to dziesięcioro „wylądowało” na krańcach południowej Słowacji (bo sama chęć to dopiero początek - potrzebny jest i ważny paszport, i pieniądze od rodziców, a i zgoda lekarza bezwzględna, nabór z ulicy też nie był przewidziany).

W końcu czerwca mieliśmy w prawdzie pewną orientację (dzięki Teresie - v-ce Prezesowi TPPW, która wracając z Węgier do Borszi zajrzała) ale i tak był to koniec świata zaznaczony na mapie małą kropką. Do tego pojawiła się informacja o zmianie przepisów celnych dla wyjeżdżających na Słowację i wymaganych kwotach w \$. Rozdzwoniły się telefony, zakłóciliśmy spokój i w WIK-u i w ambasadach, zaalarmowaliśmy Borszi. Codziennie biegaliśmy do pocztowej skrzynki, zaciągaliśmy pożyczki i pojechaliśmy.

Zawierzałam Stalowemu i to był mój ogromny błąd. No, niby słyszałam wcześniej o harcerskim sposobie organizowania przejazdów, ale żeby przyjść na zbiórke o 13-tej i czekać do odjazdu 1,5 godziny?! Mieć trzy przesiadki i sześć godzin spędzać na dworcach czekając na kolejne połączenie, a na dodatek w Koszycach usłyszeć, że dalej nie mamy biletu?! ZGROZA! I to w epoce „Inter-city”! Ale tak było podobno taniej. Oj, Stalowy, Stalowy!

Służby graniczne potraktowały nas ulgowo - odetchnęliśmy. Ledwie nieco uspokojeni próbowaliśmy ukoić emocje drzemką (i chlebkiem zamaczanym w rozpuszczonym maśle) - poderwała nas informacja, że to już Koszyce. To co właśnie „wypelzało” z sąsiedniego toru - to był właśnie pociąg do Borszi. Czekamy na następny.

Godzina spania, po przesiadce, i wczesnym rankiem wysiadamy w Borsza. Peron jest, tory prowadzą dalej, a więc to nie koniec świata. Pytamy o zamek - odpowiadają, że to tu niedaleko. No, tak bez bagaży to byłby żaden problem. Spomiędzy wielkich drzew wylaniają się mury. Brama jednak zamknięta. Chłopcy składają plecaki, my idziemy szukać adresu z kartki na bramie, młódź „obrabia” rosnące tu morwy. Osada jest rozległa, numeracja domów wskazuje, że trzeba zawrócić więc wracamy bo i naprzeciw nam spieszą z informacją, że dobrze trafiliśmy i jest już szef. Witają się z nami ciepło starszy pan, gościnnie otwiera podwoje. Dzień zaczyna się upalnie, a więc nie ma na co czekać i trzeba rozbić namioty.

Chłopcy pobawili się z godzinę z omasztowaniem, jak z kostką Rubika, i rezultat był zadawalający - „ósemka” skryła koło południa ich i bagaże.

Wprawdzie szef zamku wołałby, żebyśmy rozbili się poza zamkiem w cieniu wielkich dębów ale intuicyjnie zaprotestowaliśmy. I mieliśmy przeczucie - tam komary pożarłyby nas przez dwie noce. Wszystkiego można było się spodziewać, ale takich stad komarów dawno nie widzieliśmy. Namioty stanęły więc na zamkowym podwórku. Wkrótce inni uczestnicy też się tu przenieśli.

Żeńskiej części naszej grupy pozwolono zamieszkać na zamku. Nad drzwiami wisiał nietoperz, od czasu do czasu spadało trochę tynku, i czy wielka to pociecha, że była to izba, w której przyszedł na świat słynny Rakoczy? Jeśli wyznacznikiem luksusu jest metalowe łóżko z siatką i materacem, to było to książęce przyjęcie.

Światło było. W zamian za ten luksus damska mniejszość miała do dyspozycji tylko zimną wodę w swej umywalni. Nie należy tego jednak odczytywać jako narzekania. Przywitał nas pan Jenő Hajdu, prezes Towarzystwa Pamięci im. Ferencza Rakoczego II i organizator całego przedsięwzięcia. Sympatycznie!

Po krótkim odpoczynku - obiad i wyruszamy do pracy (nic za darmo!). Zaczynamy od prac porządkowych wokół zamku. Popołudniowy upał daje się we znaki, zmęczenie podróżą zresztą też. Ratuje nam „życie” sygnał na kolację, a przedtem solidne mycie. Letnie dni są jednak długie - zwiedzamy wszystkie dostępne zakamarki zamku. Odnajdujemy tu i ówdzie stare ślady - piece, herb, napisy.

Zamek budowano zapewne w kształcie czworokąta, baszty już nie istnieją, poza śladami jednej z północnej strony. Od południa budowla jest otwarta - ograniczona prowizorycznym płotem. Budynki są jednopiętrowe pokryte chyba niedawno dachówką. Większość otworów okiennych nie ma jeszcze okien, na piętrach niewiele jest drzwi i stąd wystraszone „najazdem” jaskółki niespokojnie zaglądające do swych gniazd pod sufitem. W części wschodniej zakładane są nowe stropy. Zastanawiamy się jaki będzie nasz udział, bo pracy tu trzeba ogrom i ludzi też.



W między czasie docierają kolejni uczestnicy. Są Węgrzy i Rumuni z Satu - Mare (a więc z d. węgierskiego Szatmaru). Próby porozumiewania się - w grę wchodzi tylko węgierski, ale mamy słowniki i wszyscy sobie radzą. A z szefem - po słowacku (i mniej, więcej wiemy o co chodzi). No, czasami coś się zdarzy - zamiast iść na posiłek czekamy na dziedzińcu, itp. drobne „niedogodnienia”. Tego dnia jeszcze przykładowie zaległa cisza na zamku wraz z zachodem słońca. Nazajutrz pobudka o szóstej. O świtanie (a może i przed) obudziło nas „JÖ REGELT!”. Jednak dopiero trzecia runda szefa po kolejnych namiotach spowodowała, że rozespiane bractwo poczęło pojedynczo wylaniać się z ręcznikami. Spacer na śniadanie w miejscowym domu kultury (bo trzeba uzupełnić, że na posiłki wędrowaliśmy 3 x dziennie prawie do stacji, co dla odchudzających się miało swe dobre strony) ożywił grupę. Zaraz po powrocie dostajemy wyposażenie osobiste - kopaczki, siekiery, piły itp. sprzęt. Krzaki i drzewa stawiają opór, konary są bezlitosne, słońce grzeje tak, jak na południu przystało. Zużywamy hektolitry wody - i do picia i do mycia. Uff! Wytrzymałymiś do obiadu. W południowym skwarze wyprawa na obiad. Ruszamy ospale. Po obiedzie jednak niemal cała grupa wyrusza na poznanie okolicy. Kusi kąpiel w Bodorgu, chociaż bezpieczny on nie jest ze swymi stromymi brzegami i wartkim nurtem. A plaża jest na przeciwnym brzegu. Wcześniej jednak trzeba przebrnąć trasę wokół różnych mokradeł z rojami dokuczliwych komarzątek. A potem błyskawicznie zanurzyć się w wodzie. Wieczorem przed namiotami rozpala się ognisko. A na kocykach są słowniczki... Trzeciego dnia chłopcy trochę się buntują, chaszcze nie poddają się łatwo, pojawiły się pęcherze na dłoniach, śniadania było mało i w ogóle poszedłby sobie człowiek gdzieś na wycieczkę...

Stalowy przeprowadza swoje słynne indokrynacyjne rozmowy.

Po południu oglądaliśmy film video o młodych latach Rakoczego. Słuchamy historii zamku i osady. W sali klubu zgromadzono już wiele interesujących pamiątek. Przeglądaliśmy kronikę.

Wieczorem znowu płonie ognisko.

W czwartek widać wreszcie przejście wokół zamku. Teren powoli się niweluje, chociaż trudno poradzić z ostatecznym wykopaniem orzecha. Chłopcy odkopują rury. Czasem bywa humorystycznie - kiedy jeden szef poleca zakopywać, a drugi wprost przeciwnie (niezadowolony Zoli mruczy coś wtedy o „socjalist munka”). Czasem mam wrażenie, że ta praca z gracją dziwnie przypomina pierwszy rok wyjazdów do Pusztamörges.

Pojawia się ekipa węgierskiej telewizji. Spoconych i „nie wyjściowych” wyciągają nas prosto od grabi łopat. Odpowiadamy nie składnie przed kamerą (trochę szkoda, że nie byliśmy uprzedzeni - wypadaloby to znacznie lepiej i chociaż częściowo po węgiersku).

Na zamku pojawia się grupa węgierskiej młodzieży - obóz wędrowny. Zwiedzają zamek i przygotowaną wystawę, wędrują po okolicy. Nocują. Wieczorem prelekcja i film podróżnika, lekarza i pisarza o polowaniach w dalekiej Mongolii - dr Gyimesi Gyröga. Z boku słychać protesty przeciwników zabijania zwierząt. Materiał prezentowany jest jednak ciekawy i bogaty. W nocy „buszują” wędrowcy. My zresztą też. A każdy ranek zaczyna się tak samo - uporczywie powtarzane od namiotu do namiotu „Jo, regelt kivanok”. I mówi to taki miły człowiek, a tak źle się myśli słysząc te słowa. Z namiotów czasem było słychać: zabiję każdego, kto jeszcze kiedyś o szóstej rano powie do mnie „Jo rege”.

Naszym szefem był prezes borszańskiego towarzystwa. Miły i sympatyczny pan, od czasu do czasu poprawiający charakterystycznym ruchem okulary. Węgrzy zwracali się doń: Jenő bacsi. My między sobą mówiliśmy różnie - „dziadek, okulary” (bo tak mówili o nim do nas Węgrzy używając języka obrazkowego - kreśląc na twarzy dwa koła), a najczęściej „szegi”, co nie oznaczało nic konkretnego - od, po prostu chyba każdy Polak pierwszy raz słysząc węgierski wychwytuje najczęściej słyszane fragmenty słów i tworzy taką zbitkę wyrazów - „egi - szegi”.

Był z nami wszędzie. Rankiem do skutku chodził po namiotach. Wspólnie z nami pracował i nie pouczał jak kipiący energią „wąsacz”. Był głównym kwatermistrzem i k.o. Chciał przekazać najpełniejszą informację o przeszłości tego zakątka. Zafascynowany ideą odbudowy, chwilami jakby nieobecny bo wybiegający myślami w przyszłość wypełnioną jego własnymi planami. Poznawał nas z ludźmi, pokazywał miejsca i krajobrazy. Pelen uroku kompan w czasie wieczornych ognisk. I zwyczajnie zmęczony po tych dziesięciu dniach i stęskniony za swą winniczką.

No, cóż praca nie jest lekka, ani przyjemna.

Ale za to knedliczki, palce lizać!

A wieczorem - kolejka do Anny Marii! Fachowy masaż, ognisko, bliskość dziewczyn - czego trzeba więcej? Nawet szef nie pozostaje obojętny.

Wszyscy znają się już dobrze. Anna Maria, Tomi i Zoli są z Satu Mare, Orsolya i Gergely z Kunszentmárton, ich przyjaciel judoka też Węgier, dwójka innych już wyjechała, nas przedstawiać nie trzeba. A właściwie trzeba! Z „XIII” byli: Stalowy, Kukul, Troll, Ptyś, Kazik (to też pseudo!), Kiejstek - nie, da się prowadzić podwójnej buchalterii w moim wieku! Normalnie to byli: Robert, Piotrek (Czech ale



Polak), Krzysiek, Artur, Kiejstut, Zbyszek, Marcin, Kamil, Stalowy i Madzia. Zamęt powodowali oni zresztą wszystkimi swymi zwyczajami Drużyny, przy których skwapliwie trwali w Borsi. Przed posiłkiem nie życzyło się smacznego. Toż to takie zwyczajne! Nikt nie odważył się rozpocząć zanim nie odśpiewano zwrotki zaczynającej się: „Pije Kuba do Jakuba naszą zupkę duszkiem...”.

Węgrzy spoglądali podejrzliwie. Trzeba było przetłumaczyć. Zbliża się koniec tygodnia, korygujemy plany i uzyskujemy zgodę na zmianę trasy sobotniej wycieczki. Chłopcy cieszą się ogromnie! Pojedziemy na Węgry. Czy Węgrzy cieszyli się tak samo, że nie pojadą w Wysokie Tatry? Zanim jednak zdecydowano o wycieczce na Węgry, były nasze grupowe „wypadki”. W środę była pierwsza próba przekroczenia granicy w Sloveńskim Nowym Meste - ale służby graniczne nie dały się ubłagać wstawiennictwu Anny Marii i obcych (przejście jest tylko dla Słowaków i Węgrów) - nie wpuścili. Od rana w czwartek trwały niby to propozycje, niby prośby. I co z takimi zrobić? Nawet paszport poszli odebrać od szefa!

Obiad zjedzony był w tempie znanym z pokazów w Pomorskiej Desantowej! Do kas biletowych „pognal” osobiście Stalowy. Zdażyliśmy na pociąg do Sloveńskiego Nowego Mesta. A dalej? Blisko - dwa, trzy kilometry twierdzili chłopcy. Stalowy wypowiedział: „500 metrów...” Było tak ciepło, ciepłutko jak to zazwyczaj bywa w lipcu na Węgrzech. Wzdłuż torów (a właściwie po torach) było ze dwa kilometry, szosą - też ze dwa do granicznego przejścia w Satoraljaujhely, a później jeszcze z dwa i pół do miasta.

Drzewa rosną tam tak, jak wiecie na Węgrzech. Wiatr nie chciał zawiąć nawet za dolary. Woda została w Borsi, a na próby zatrzymania czegoś co ma koła nikt nie reagował widząc taka watachę. Trzeba było widzieć miny celników (których trudno czymś jeszcze zaskoczyć) pytających: a wy dokąd? Krótkie majtki, nagie torsy, paszporty w garści, jeden aparat i to wszystko ustawiające się na lini wyznaczającej przejście dla Polaków (to nie takich Polaków się tutaj odprawia). I tak po kilku minutach wymieniamy korono - forinto - marko - dolary w przeróżnych kombinacjach i jesteśmy na Węgrzech! Chłopcy są pełni optymizmu! Co to za odległość, za pół godziny będziemy na miejscu! A ta góra? Zakładamy się, że za trzy godziny będziemy na szczycie (ta góra to był Tokaj). Dopadli do pierwszego węgierskiego sklepu z napojami i lodami, i pognali dalej mając przykazane zrobić dwa - trzy zdjęcia (zrobili jedno. Sobie!) i powrót na 17-tą.

Satoraljaujhely zwiedzili sumiennie. Odkryli stare kościoły (różnych wyznań), domy, piwniczki - przeegzaminowani byli! Przeżyli szok cenowy też. Długo nie wracali.

Cóż, trzeba było zrezygnować z kolejnych propozycji podwiezienia przez Węgrów i czekać (jak już nie można latać...).

Pojawili się jak szary sznureczek na linii horyzontu, i tak mniej więcej za godzinę dotarli do granicy.

A tuż za przejściem zemsta była słodka. Byli spragnieni? No, pewnie! Duża butla wody z Borsi skusiła, ale ten zapaszek! Krzywili się, prychali ale pili.

Historia w tym momencie się nie skończyła. Po słowackiej stronie dżentelmenów szos zabrakło. Zaczął się maraton, bo miał być pociąg o 19-tej. I tak szosą znów coś tak ze dwa kilometry, po kolejowych podkładach szybkim marszem też coś koło tego i ... Pociąg będzie o 20.02!

Trzeba mieć dużo zdrowia i bardzo, bardzo kochać młodzież...

Zdażyliśmy. Chłopcy przebrali się w mundury niczym na alarmowej zbiórce.

Pani kustosz czeka.

Siedziba rodu Rakoczyc w Sarospataku jest okazałą, zadbaną budowlą w stylu renesansowym. Zupelnie odcina się od niej wieża z piaskowca.

Zamek był silnie związany z tradycjami walk niepodległościowych, a ich celem było uwolnienie spod panowania Habsburgów. Wiele zgromadzonych zbiorów dotyczy tego okresu. Historia Węgier spleta się z dziejami tego wielkiego rodu. Chłopców fascynuje broń. W sali z popiersiem Franciszka Rakoczego II realizuje się wcześniej podjęta decyzja.

Prosimy o kilkanaście minut przerwy w zwiedzaniu. Harcerze ustawiają się w szeregu. Stalowy komunikuje o decyzji Rady Drużyny, zezwalającej Piotrkowi na złożenie Przyrzeczenia Harcerskiego. Padają komendy. Zostaje odczytany rozkaz Drużyny. W scenerii węgierskiego zamku, w miejscu tak bardzo ważnym w historii Węgier padają pierwsze słowa: „Mam szczerą wolę ...”

Rozlega się śpiewana tylko w takich momentach pieśń.

Jest jeszcze jedno ważne w Drużynie wyróżnienie - wręczenie mi Honorowej Odznaki XIII Ł.D.H. (o jego wadze świadczy fakt, że jest ono dopiero dziesiątym w kolejności wyróżnieniem dla osób spoza Drużyny).

Dziękuję, za tak wysoką ocenę naszych kontaktów!

Kończymy zwiedzanie zamku. Dużą frajdę czyni nam pan kustosz obdarowując zestawem kart z Sarospataku. Jeszcze oglądamy część koncertu węgierskiego zespołu, który trwa na dziedzińcu i niestety wracamy.

Drużyna śpiewa. Wspaniale. Szczególnie dzieci proszą o powtórzenie. Zapamiętały najszybciej śpiewaną na głos ludową piosenkę „siała baba mak”.



Spóźniony autokar (zdenerwowany pan Kazmir biegnie do pracy) staje przed domem kultury, ale my mamy jeszcze jedną sprawę do załatwienia.

Wyciągamy kupioną w Nyiregyhaza butelkę i pomimo zasłyszanej wczoraj informacji, składamy życzenia urodzinowe PANU JENŐ HAJDU. Zresztą zaraz ją odbieramy, bo mocarni z „XIII” chwytają szefa i już widać go nad horyzontem.

Wieczorem w domu kultury wspólna zabawa z mieszkańcami. Było trochę nie zdecydowania w kwestii - iść nie iść, ale poszli. Trochę ze strachem zaglądamy, czy zostało coś z kolacji. Drzwi zamknięte. Cisza.

Podjeżdża jednak granatowa Łada, widząc zamieszanie przy obiedzie pan Hajdu przewidział spóźnienie i pewnie znał rozkład jazdy pociągów. Kolacja więc była. Jaka szkoda, że skończył się film w aparacie. To trzeba było zobaczyć!

Wielka waza łazanek z kapustą, pochylone nisko, stłoczony głowy i wiosłujące łyżki jak na najlepszym regatowym wyścigu!

Któżby mył talerze i po cóż one!

Jeszcze tylko herbaciany napój. Łyżki umyte. Uff! Zwycięstwo! Węgry zaliczone, kolacja też. Kto pierwszy na masaż do Anny Marii?

Myślicie, że „padli” wieczorem? Skądże znowu! Przy ognisku dali koncert piosenek góralskich, żeglarskich, harcerskich i festiwalowych. Wyobrażacie sobie kankana odtąnczonego przez dziesięciu chłopów? Widać masaż tak im przywracał energię.

Sobotnim rankiem było ciężko wstawać. Nie jedziecie na Węgry? Jedziemy! Jedziemy!

Ależ te chłopaki urodne w harcerskich mundurach!

Razem z grupą mieszkańców Borsi powędrowaliśmy najpierw do Satoraljaujhely i Sarospataku. Muzeum było jeszcze zamknięte, więc dalej przez Tokaj do Nyiregyhaza. Teraz już nikt nie czynił zakładów o czas wejścia na szczyt.

Byliśmy na tradycyjnym węgierskim rynku. Obowiązkowo były próbowane langoszy. Później kilka godzin szaleństw w ośrodku kąpieliskowym (gorące źródło nie wzbudziło entuzjazmu). Można było popatrzeć na to wszystko z pobliskiej wieży widokowej. Można było zajrzeć do pobliskiego Muzeum Wsi.

Późnym popołudniem zarządzono powrót. Chcieliśmy być w muzeum w dawnej dziedzinie Rakoczych w Sarospataku. Opuszczamy Nyiregyhazę, siedzibę komitetu, o rolniczym charakterze.

Mijamy Tokaj. Na chwilę zatrzymujemy się na moście i fotografujemy ujście Bodrogu do Cisy. Jedziemy Podgórzem Tokajskim. Pojawiające się tablice informacyjne przywołują zapamiętane informacje o okęgach winnych (Mad, Tally, Tolosva) i samym Tokaju. Na południowych stokach rozciągnięte równiutkie winnice. Trochę szkoda, że to jeszcze nie czas zbiorów.

O tokajskich winach będzie jeszcze okazja usłyszeć. niestety nie mamy czasu na zwiedzanie słynnej XVII-wiecznej winiarni Rakoczego.

Tylko trochę zmodyfikowano (po prostu nie zrealizowano) bogatych planów na wolną niedzielę - trwało wielkie odsypianie.

Ale byli i tacy, którzy „zaliczyli” długi przedpołudniowy spacer przez pola i łąki. Wspaniałe widoki, przestrzeń, odległa panorama Węgier i powrót przez Vinickę.

Po wczesnym obiedzie spacer nad Bodrog. Ale krótki, bo czekali przed namiotami zgłodniały amatorzy węgierskiej potrawy. Produkty kupione na Węgrzech. Kociołek przytuszczony z Łodzi. Od razu znaleźli się chętni do przygotowania polowej kuchni i wycięcia odpowiednio długiej łyżki. Zmontowano ją zresztą z części niezbędnika i długiego kija (bo akacja okazała się zbyt odpornym materiałem), posłusznie biegano do mycia z produktami. I było tak zupełnie zwyczajnie: najpierw wędzona słonina, później cebula, papryka, kielbasa. jakoś dziwnie zniknęło to wszystko w przepastnym kociołku, a tu zjawili się niemal wszyscy i kibicują. Nie ma więc co przestrzegać ortodoksyjnie przepisu, bo zabraknie zawartości. No, to jeszcze woda, vegeta i paczka makaronu. I tak był to na sposób węgierski (modra Hungaria). Pajdy chleba uzupełniły zawartość menażek, kubków, puszek po konserwach. Ostatni wylizał kociołek. Zoli już nie protestował, że to nie po węgiersku. Przerażony szef myślał, że nie będą jedli kolacji. Oni? W poniedziałek prace stały się bardziej techniczne. Wykop pod linię telefoniczną, zakładanie linii, udrożnienie przewodów kanalizacyjnych i (takie bardzo kojarzące się ze starym zamkiem) skuwanie tynku w podziemiu. Fantastycznie! Dziewczyny wychodziły na światło dzienne, jak przysłowiowe żony młynarzy. Po południu idziemy we dwójkę na kolejny zwiad. „Zaliczamy” pewną odległą winniczkę z charakterystycznym domkiem - zameczkiem. Bardzo nam się podoba. Gdyby jeszcze piwniczka była otwarta... Wracamy nad Bodrog zrobić zdjęcia i sprawdzamy dalszą okolicę. Znaki wskazują, że jest tu już stara granica. Sprawdzamy przez kilka kilometrów, czy ktoś tu pełni strażę. Cisza. Popołudniowy skwar. Przechodzimy starym mostem przez zabagniony potok. Wygląda na to, że jesteśmy na madziarskiej stronie. Wracamy, trasę powtórzy się po zmierzchu.

A na zamkowym podwórku Anna Maria ujawnia jeszcze jedną swą specjalizację - trwają postrzyżyny chętnych. Gergely cierpliwie dzierży wyciągnięte skąd lustro. Na masarze trzeba było czekać do



wieczora. Zbliżamy się do końca pobytu. Trzeba przyspieszyć. Załadowane taczki rumoczą po kamieniach podwórca. Wokół zamku szeroki pas oczyszczonej ziemi. Jeszcze trzeba przenieść ścięty pień orzecha - pełna męska mobilizacja. W bramie wyrównane kamienie.

Przewód telefoniczny (aczkolwiek potrzebny) trochę szpeci fronton, ale kiedyś zniknie pod tynkiem. W środę na dziedzińcu trwają wykopaliska - trzeba w symetrycznie wyznaczone dolki wkopać bukszpany. Najłatwiejsze to to nie jest, ale szef ma przecież wizję przyszłości i dużo wody. Po południu (trochę wymuszona) ale z aplauzem przyjęta, wycieczka do piwnic winnych - w Viničkach, z daleka widocznej na stokach wytwórni. Nie jest to czas zbiorów, więc od razu wędrujemy do podziemi. Korytarze mają półokrągłe sklepienia, jest wilgotno, pachnie winem. Przewodnik wprowadza nas w arkana sztuki winiarskiej pod rzeźbą Bachusa. W korytarzach i ukrytych salach, rzędy beczek z zaznaczonym rocznikiem. Korytarzami wydrążonymi w tunelowych skalach docieramy do sali probierczej. Z charakterystycznej szklanej kolby wlewa się do szklaneczek ubiegłoroczne wino tokajskie (to na początek?!). Cisza. Wszyscy patrzą na Stalowego. Wreszcie jest zgoda na pół szklaneczki. Ale już niosą nowy gatunek. Przejechać tyle kilometrów i Tokaju nie spróbować? Stalowy, Stalowy - czy trzeba było podstępować? Trzeci gatunek!... Wypada podziękować za gościnne przyjęcie. Zaśpiewamy? No, pewnie! Szef nagrywa „Sokoły” i „Janosika”. Z pewnością zostaną ślady naszego pobytu w Borsi.

Przed kolacją kolejna prelekcja z przeżroczami o wynikach badań archeologicznych w Górach Zemplńskich. Wykładowca mówi o licznych, starodawnych śladach węgierskiej bytności. Nie mamy zamiaru kwestionować i jest to ciekawe, tylko oczy zamykają się same...

W środę od rana trwają ostatnie prace. Około południa mobilizacja słabnie. Te ostatnie taczki są wyjątkowo ciężkie. Popołudniu szaf prosi o galowe wystąpienie. Są zaproszeni goście, na czele z burmistrzem. Przed zamkiem zostaje odsłonięta rzeźba, upamiętniająca nasz tegoroczny pobyt. Prezes Towarzystwa Pamięci Franciszka Rakoczego II podsumowuje pobyt, słyszymy wiele miłych słów. Otrzymujemy książkowe wyróżnienia i potwierdzenia pobytu. Chcemy czy nie - też musimy coś powiedzieć. Anna Maria gra na siedmiogrodzkim instrumencie. Chłopaki śpiewają polskie piosenki. Pan Jenő - nagrywa. Jeszcze pamiątkowe zdjęcia. Wieczorem gulyas - party i wielkie ognisko z miejscową młodzieżą. Słyszę jak im szef opowiada historię Rakoczego i powiązań z Polską. Wszystkim nam jest potrzebna znajomość przeszłości.

Grubo po północy wracają ostatnie włóczęgi. Tylko szczekanie psów sygnalizuje, z której części osady odprowadzają właśnie dziewczynę. O świcie wstają Węgrzy i pierwsi po cichu opuszczają obozowisko. Jeszcze zagląda do sali Gergely i kiwa śpiącym (na tę noc gremialnie przenieśli się wszyscy do zamku), ale nie budzi nikogo. Jest taki spontaniczny w tym odruchu i taki jeszcze trochę dziecinny. Do zobaczenia w przyszłym roku, Gergely! Napišemy do was odpowiadając na pytanie: dlaczego Polska i Węgry?

Po śniadaniu likwidacja obozowiska. Pakowanie, jeszcze krótka drzemka. Decydujemy się w południe na odjazd o 13-tej do Koszyc. W biegu zjadamy trochę wczorajszej zupy i pędzimy na stację. Nie, nie panie Prezesie to nie wynoszenie w kawalkach pana ukochanego zamku! To były tylko te książkowe upominki otrzymane od pana! Żegna nas Prezes pan Hajdu i pan Kazmir a także szatmarchycy. Szkoda, że to już. Chyba wrócimy. Czekać na nas. Pociągi z Koszyc odjeżdżają do Krakowa (koniecznie przez Muszynę) tylko dwukrotnie na dobę. Ten południowy właśnie odjechał. Następny będzie po północy. Zbiórka w dwuszeręgu, plecaki w szeregu, warty zmieniają się co dwie godziny! Idziemy zwiedzać Koszycy! Bardzo ładne miasto, wiele odnowionych budynków w centrum. Tyle ciekawych miejsc - studnia, dzwon, muzeum, budowle. Zwraca uwagę bardzo sprawne działanie służb porządkowych. Chyba został już „połknięty” węgierski bakcyl, bo i węgierskie ślady zostały tu dostrzeżone. A wieczorem wracamy pod fontannę i siedzimy tam do końca - szum zmieniających się strumieni wody, barwne podświetlenia i muzyka, muzyka...

Tu też musimy wrócić - nawet tylko po to, żeby zrobić jeszcze kilka zdjęć.

W Krakowie za mało czasu na Wawel, ale najbliższe uliczki są też krakowskie.

Dalszy schemat podróży - patrz jak na wstępie! Oj, Stalowy, Stalowy!

W Częstochowie przerwa w podróżowaniu trwa ponad dwie godziny. Krótki „wypad” na Jasną Górę i króciutkie zwiedzanie. Po drodze - mały, ale ważny sukces. Udaje się kupić od dawna poszukiwany znaczek z Bemem. W nagrodę - podwójne lody.

A jeszcze później trwają uporczywe zmaganie się z zmęczeniem, upałem i monotonią krajobrazu za oknami - Rozprza, Baby, Piotrków... W Koluszkach już nikt nie ma ochoty zmierzyć się ze Stalowym. Nikt nikogo nie goni po peronach, gdzie ci tryskający energią młodzieńcy, walczący w każdy możliwy sposób o zdobycie przewagi fizycznej nad tym jednym, stale czujnym i w pogotowiu.

Byle do domu!

Plecaki, namioty, autobus, do zobaczenia... Jeść i spaaaaaaaaaaaaaaać...



**B. 70 Lecie Stalowej Trzynastki w oczach TPPW
9 MARCA 1996**

Po raz pierwszy naszą siedzibę odwiedził Attache ds. wojskowych Ambasady Węgierskiej p. Péter Szabo. Towarzyszyła mu małżonka i zaprzyjaźniony "łódzki szef" Studium Nauczania Języków Obcych plk Edward Jędrzejewski. Wspólnie z p. Terezą Barkanyi udaliśmy się do szkoły przy ul. Staszica, gdzie tym razem rolę gospodarza przejęli harcerze z XIII ŁDH im. Gen. J. Bema. Przybyli tam także prezes Stowarzyszeń Polsko-Węgierskich p. Jan Stolarski i wice prezes Warszawskiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Węgierskiej im. J. Antalla p. Mieczysław Ostoja-Mitkiewicz- byli harcerz i boglarczyk.



Tu odbyła się uroczystość związana z 70-leciem drużyny, które przypadło wprawdzie wcześniej ale z powodów finansowych i organizacyjnych mogło się odbyć dopiero teraz. Tutaj bowiem po wielu staraniach wróciły pamiątkowe tablice poświęcone byłym harcerzom. Ten właśnie budynek szkolny był pierwszą siedzibą drużyny. Z tym też gmachem wiąże się udana próba wyniesienia sztandaru drużyny, już po zajęciu go przez niemieckich żołnierzy. Bohaterka tego czynu choć nie mieszka już w Łodzi, była obecna na uroczystości. Na szkolnym holu, który stał się centralnym miejscem uroczystości, ze względu na umiejscowienie tablic, zasiedli byli członkowie drużyny i osoby związane z nią

przez lata oraz zaproszeni goście, wśród których obok wymienionych powyżej znaleźli się także: przedstawiciel wojewody Łódzkiego, attache ds. wojskowych Ambasady Turcji, przedstawiciele władz harcerskich, zaproszeni dyrektorzy i delegacje szkół, członkowie TPPW i ci wszyscy, którzy służyli wsparciem w przygotowaniach. Uroczystą zbiórką rozpoczęła o 15.13 gromka komenda przybocznego.

Orkiestra garnizonu, specjalnie przybyła na uroczystość, odegrała hymny państwowe Węgier, Turcji i Polski. Wprowadzono sztandar drużyny. Odczytano okolicznościowy rozkaz drużynowego hm. Krzysztof Łęcki „Stalowy” wręczył przyznane przez Radę Drużyny Odznaki Honorowe, które otrzymali: poprzedni drużynowy, hm Zajączkowski, Ewa Chałaj oraz TPPW, dyrektor XXXVLO Szczególnego znaczenia nabiera wyróżnienia tą odznaką w kontekście faktu, iż przez te wszystkie lata istnienia drużyny przyznano dotąd 50 odznak. W rozkazie zawarto wyróżnienia, przyznanie wyższych stopni harcerskich i sprawności. W równo ustawionych szeregowych zafalowały dotychczas nieruchome łaski /jeszcze jeden element zachowany z dawnych lat/, kiedy wycytani pojawiali się przed drużynowym aby w rytualnym akcie uzyskać potwierdzenie mianowania. Po wyróżnieniach odbyło się ponowne odsłonięcie tablic którego dokonali: dyr. Wiesława Kopytek i dh Zdzisław Fangrat jeden z najstarszych już członków drużyny/ i brat Tadeusza Fangrata – pisarza i tłumacza literatury węgierskiej, co warte jest przypomnienia na naszym gruncie/. Delegacje złożyły kwiaty. Następnie drużyna otrzymała nowy sztandar drużyny. Inicjatorem było TPPW w uznaniu zainteresowanie tematyką węgierską, kultywowanie pamięci bohatera



Dzięki pomocy wielu osób /WIK, plastycy/ a przede wszystkim dzięki członkom „Frywolitki” przedsięwzięcie udało się. W tym dniu sztandarów węgierskich oddziałów honwedów z

Szarfę z nazwą drużyny zawiesiła prezes TPPW, przekazując sztandar attache wojskowego Ambasady Węgierskiej p. Peterowi Szabo, który wręczył sztandar drużynie. Z życzeniami i upominkami wystąpili: attache wojskowy p. Szabo, wicedyrektor WIK- u T. Barkany i /nawiązując do Narodowego Święta Węgier- 15- marca i tradycji honwedów- obrońców Ojczyzny/, prezes Federacji- J. Stolarski oraz uczestniczące delegacje zaprzyjaźnionych drużyn. Głos zabrał też przedstawiciel ambasady Turcji- w przeciwnieństwie do naszych Węgrów mówił tylko po turecku. Odczytano listy komendantki Hufca Łódź- Bałuty i Chorągwi Łódzkiej.



Pojawiły się okolicznościowe torty. Ten główny /mający coś wspólnego z TPPW/ nie przetrzymał trudów podróży i chwili prezentacji przypominał nieco Wzgórze Gellerta po gwałtownym w czwartorzędzie, ale napis i znak drużyny pozostał niezniszczalny i dokumentował na zdjęciach czyja to uroczystość. /Zresztą skutecznie oparł się pokusą różnych- mniejszych i większych- gryzoni, chcących sprawdzić czy to też jest jadalne. Ale zanim pochłonięto wszystkie uroczyste torty, zebrani uczestniczyli w uroczystej mszy polowej. Następnie zwiedzano okolicznościową wystawę przygotowaną z myślą o podsumowaniu tak ważnego jubileuszu. Znalazło się tu wiele unikalnych materiałów, dokumentów, rekwizytów. Stare kroniki i zdjęcia przypominały dawne lata. Były tu ślady dawnych obozów, udziału w wojnie, powojenne starania o utrzymanie drużyny i harcerskiej symboliki a przede wszystkim ogromnie dużo o patronie drużyny p. Ostoja - Mitkiewicz dzielił się wspomnieniami z okresu pobytu na Węgrzech i szkoda, że zabrakło czasu na dłuższe spotkanie. Dla wielu uczestników było to spotkanie po latach. Serdeczne spotkanie ludzi sobie bliskich. Wszyscy uczestnicy otrzymali pamiątkowe potwierdzenie udziału a stał się nim nieco tylko spreparowany do potrzeb – dawny banknot 10 złotowy z

podobizną Bema i chociaż żartowano, że podlega on waloryzacji a więc wart jest kilkaset złotych, wielu było chętnych do uiszczenia należności. I choć szkoła przeżyła uroczystość, niemal jak najazd Hunów/ oj, wiele było obaw p. Dyrektor czy wytrzyma ją werwę garnizonowej orkiestry- a „mury runą, runą .../ - to była to potrzebna i drużynie i nam wszystkim , podniosła i doniosła harcerska rocznica. A rozmowy i dyskusje w grupkach, podzespółach i klubach zainteresowań trwały jeszcze długo po zakończeniu oficjalnego spotkania.



Banknot wydany z okazji 70 lecia powstania Drużyny

C. Stalowa Trzynastka w miesięczniku Towarzystwa Przyjaźni Polsko Węgierskiej. Baratsag nr 40 ~ Marzec 1996

XIII Łódzka Drużyna Harcerzy im. Bema powstała na łódzkich Bałutach w 1924 roku. Ich pierwsze lokum to szkolny budynek, dziś przy ul. Staszycza 1/3, do którego po latach wróciły znowu



pamiątkowe tablice. Zaczynali w trudnym powojennym okresie przywracania Polski. Ale byli młodzi, sprawni, chcieli poznać kraj i ludzi. Lata dwudzieste i trzydzieste charakteryzuje wzrost liczebny, dążenie do zdobycia kolejnych stopni wtajemniczenia w harcerskiej służbie. W dziesiątą rocznicę istnienia otrzymują sztandar drużyny, pieczętowanie strzeżony, podczas wszystkich kolejnych meandrów historii, do dziś. Są już wówczas drużyną wielo pokoleniową- mają gromadę zuchów, harcerzy młodszych i starszych oraz zespół /krąg/ instruktorów. Zaliczyli pierwsze wycieczki, biwaki i obozy. Próbuje określić swoją tożsamość- budują kajaki. Bardziej zafrapuje ich jednak lotnictwo – dziedziną, która w tych latach „pociągnęła” wielu młodych ludzi. Stąd się wzięła uzupełniająca nazwa „Stalowa Trzynastka” i te szare chusty /przepraszam – stalowe / i barwy drużyny. W 1934 roku są już obecni na Międzynarodowym Zlocie Skautów w Gödöllo. Marzenia o powtórnym pobycie mogły się spełnić dopiero w 1995 roku i to tylko częściowo. Przed wojną budowali stanicę w Grotnikach. Uzyskali własną siedzibę – подарowany domek przez dobroczyncę. Mają kłopoty z prawem własności do niego do dzisiaj. Ostatni obóz przed wojną odbywał się w Zaleszczykach. Wrócili wcześniej. Byli przygotowani do zadań, które stały się faktem. Czynnici bronili Polski przed najeźdźcami – młodzi w Łodzi w ramach Harcerskiego Pogotowia Wojennego, starsi na szlakach bojowych armii polskiej i podczas obrony Warszawy. Nie wrócili w komplecie. Ich nazwiska – to pierwsza tablica pamięci. Później była konspiracja – bo przecież i tam nie mogło ich zabraknąć. Krótki etap w wyzwolonej Polsce i dalsza walka o przetrwanie i bycie w nowych, wcale nie łatwiejszych warunkach. Nadal ginęli i musieli odchodzić ludzie. Przetrwali lata pięćdziesiąte i późniejsze wraz ze swym Patronem. Kultuwali stare harcerskie tradycje, które dla wielu z nas nie mają nigdzie indziej. Ocalili sztandar i wiele dokumentów swego istnienia. Teraz są razem z nami. Chcemy, aby swego Patrona poznali także przez pryzmat węgierskich ocen i faktów, żeby poznali kraj, któremu ich Bohater poświęcił tak wiele w imię wspólnej walki. Będzie o tym przypominać nowy sztandar, który z takim trudem udało się nam im ofiarować. Nie jest to zapis historii drużyny – to uczynili już oni sami i być może pozwolą kiedyś przedrukować. Czuwaj! „Starsze druhny” życzą Wam wiele harcerskich sukcesów!

21 czerwca 1996

– to tradycyjny koniec roku szkolnego dla klas ósmych. Byliśmy zaproszeni do Szkoły im. Bema. W tym ważnym dla absolwentów /dla nas zaś już nie bezimiennym grupy, ale sympatycznych Kaś, Magd, Michałów, Piotrusiów – reagujących żywo na wszystko co węgierskie/, pojawił się również spóźniony ach, te wąskie łódzkie ulice! Laci. Było wiele życzeń i podziękowań, uroczystość przekazania sztandaru, nagrody i listy pochwalne. Cóż mogliśmy ofiarować naszej Szkole, która oprócz znanych kłopotów ma problem także z naborem pierwszoklasistów? Życzymy im przecież najlepiej! Czy bocian /ekspozat do klasy biologicznej/ nie był tego najlepszym wyrazem? Węgierski akcent też był. Kupiony Esztergomie wielki Węgierski olówek posłużył P. Dyrektorowi w nowym roku szkolnym do mianowania najmłodszych uczniów szkoły. Dużym zainteresowaniem cieszyła się przygotowana wystawa zdjęć z wycieczki do Budapesztu. Przekarmiony przez p. Dyrektora Laci /to też metoda walki o prymat!/ nie miał już siły ani na odwiedziny w CHINA-TOWN ani na spotkanie w siedzibie. I jak tu wierzyć dyplomacie?.

27 czerwca 1996

Chcieliśmy pojechać do Krakowa, ale się nie udało. Przecież nie mogliśmy zapomnieć, że kończy swą kadencję w Polsce p. Istvan Kovasc! Pan Konsul dotarł jednak, choć na krótko do Łodzi – co bardzo nas uradowało. Czekaliśmy więc cierpliwie wspólnie z harcerzami z XIII ŁDH, aż Warszawa wspaniałomyślnie wypuści ze swych objęć także i „naszego” Konsula i doczekaliśmy się. Trudne są takie spotkania. Zawsze chcemy wtedy przypomnieć wszystkie miłe chwile, utrwalić pamięć o nich na długo, bo rzadko zdarzają się po latach powtórne powroty. I mimo, iż mija w takich chwilach kilka lat kontaktów, to chciałoby się wszystko przedłużyć, zmienić bieg zdarzeń, żeby trwało jeszcze rok, dwa...

A jednocześnie nie może być przecież smutno. Pytań było wiele: co to znaczy być konsulem, po co konsul i dlaczego właśnie w Krakowie /bo skąd mogliśmy wiedzieć, że Kraków to taka wielka miłość?/, po co powrocie, a przede wszystkim skąd ta miłość do Bema /słynie przecież Polska z dziewczyn najwspanialszych pod słońcem a tu raptem tyle uczucia dla starego, brzydkiego Bema /.

Łódzkie drobne upominki być może nie pozwolą zapomnieć o Łodzi.

Lesco, wino i zapowiedź dalszych kontaktów osłodziły nieco czas rozstania.

Do zobaczenia więc w Budapeszcie lub w Łodzi!

Baratsag nr 42 ~ Wrzesień 1996

D. ODWIEDZINY W LESIE

XIII ŁDH w 1996 na miejsce swego obozowiska wybrała lasy pilskie niedaleko miejscowości Ptusznia. Jedziemy tam z państwem Barkanyi /Dyrektor Węgierskiego Instytutu Kultury/.



A mamy dotrzeć na podstawie wskazówek Stalowego.

Dopóki korzystamy tylko z mapy, problemów nie ma.

Stalowy mówił że oj, Stalowy, Stalowy!

Pytamy tu i tam. Na szosie żadnego drogowskazu nie widać. Mieszkańcy wskazują drogę "do harcerzy".

Ale czy oni są z Łodzi?

Na dodatek skończyła się słoneczna pogoda. Odległe grzmoty zapowiadają przyzwoitą burzę.

Zapowiedziany napis, wskazujący drogę do stancji.

Przejeżdżamy albowiem samochód był dobrej marki a taki napis farbą na asfalcie najlepiej widać z konnego zaprzęgu.

Wracamy tedy i skręcamy w leśny dukt. Po chwili spostrzegamy charakterystyczny dla harcerskich obozowisk "szlaban" z rusztowaniem a la brama, a ponieważ jest podniesiony i widać w oddali ludziki w rogatywkach - wjeżdżamy.

Zjawia się Stalowy. Przekazujemy to, co w tej Gł(pt)uszy jest nawet uzasadnione.

Nadzwyczaj gorliwie i wylewnie zaproszenie Stalowego na obozową specjalność, wskazuje z dużym prawdopodobieństwem, że w potrawce były resztki z wczorajszej kury.

W towarzystwie komendanta obozu (tzn. Stalowego) a w cywilu także i Członka Zarządu TPPW, idziemy zwiedzić obozowisko. Przy,, bramie" przeży się mały wartownik.

Namoty ustawiono na planie kręgu. Na środku maszty z flagą i płonący ogień doglądany przez służbowy zastęp. Obóz przyjął w tym roku SŁOWANIE i stąd też ten „płonący wiecznie ogień”.

Przed namiotami pomysłowe totemy, symbolizujące nazwy zastępów i stojaki na menażki.

Zaglądamy też tu do obozu harcerzy z warszawskiej Woli, którzy stworzyli przedziwną, piętrową konstrukcję obronnej wieży. To też związane jest nazwą obozu – oni są z kolei templariuszami i właśnie szykują się do walnej potyczki na drewniane miecze i topory.

A w „słowiańskim” obozie trwa bieg sprawnościowy, w którym zupełnie dobrze spisują się zuchy. Nie przeszkadza więc zwiedzamy najbliższą okolicę. Ptusza to jedna z wielu małych osad w pasie pojezierza. Zaczynamy od stacji kolejowej. Na czerwonym budyneczku dumny (choć trochę krzywy) napis: DWORZEC PKP. I nie to, że pociągi do Łodzi tu się nie zatrzymują, ale w przeciwnym kierunku można się zabrać! Szosa jest właśnie remontowana (ależ wspaniale działa informacja - decyzja o wyjeździe zapadła dopiero wczoraj a tu nawet drogę przygotowali na powitanie!). W przydrożnym sklepie można nabyć to i owo. W pobliskim zajeździe dają lepsze piwo niż kawę. Pan Zoltan Barkanyi popatruje na mapę i proponuje zobaczyć Jezioro Złotowskie, mimo iż burza wisi w powietrzu. Mijamy osiedla i wsie już w deszczu. Do samego Złotowa już nie dojeżdżamy. Nad jeziorem budzimy zdziwienie wędkarzy. W taką pogodę samochód z dyplomatyczną rejestracją mógł tu tylko zabłądzić. W słoneczne popołudnie zakątek ten jest zapewne bardzo malowniczy ale teraz można tylko puścić wodze wyobraźni, podpatrując przez uchylone szyby. Nie straszmy więcej ryb ani wędkarzy. W powrotnej drodze zatrzymujemy się na kilka minut przy zabytkowym kościele w Tarnówce. Deszcz pada jakby mniej. Samochód zostaje pod harcerską strażą. Idziemy na spacer. Kilkadziesiąt metrów za obozem strome, piaszczyste zejście do wody ze strzegącą go, poskręcany konarami, sosną. Szuwały, podrywające się do lotu wodne ptactwo i siniejący w mżawce las. Po drugiej stronie wody mogą sugerować, że jest to jakieś małe jezioro. Jest jednak zakole płynącej tutaj rzeki Gwdy.

Zaczyna padać intensywniej i mimo piaszczystego podłoża, natrafiamy coraz częściej na gąbczaste mokradelka. Wracamy do obozowiska, gdzie otrzymaliśmy do dyspozycji nieprzemakalną od góry "dziesiątkę"

ale skutecznie podmywaną od dołu. Symbolem wyróżnienia jest żarówka zawieszona u wejścia.

Gasimy nagle światło i degustujemy zawartość ciemnych butelek. A może już warto "zakopać" się w kocyki? Nie uda się. Stalowy czuwa. Kolacja na stole.

A zaraz potem harcerski kominek (bo w takim deszczu ognisko stało się niemożliwe). Zapłonął rząd zniczy.

Pałatki i kije. Sceneria przypomina mickiewiczowskie "Dziady" - mokro i ciemno ale na pewno nie głucho. Harcerskie komendy, okrzyki i piosenki.

Pani Tereza Barkanyi, po wprowadzeniu Stalowego, opowiada o pochodzeniu Madziarów i obchodzonej właśnie ważnej dla Węgrów rocznicy.

Harcerska zabawa trwa. Podsumowany zostaje bieg sprawnościowy. Dla najlepszych - przywiezione soki, cukierki i arbuz. Oboźny odczytuje zabawną, wewnętrzną pocztę obozową. Zastępy "zwalczają" się piosenką. Kończy kominek i harcerki dzień zwyczajowo, tradycyjną pieśń "Bratnie słowo"...



A kiedy zuchy zostaną ulużone w namiotach i warty sprawdzone, w kuchni spotyka się obozowa kadra. Ciepło tu i zacisznie. Dają gorącą herbatę. Opowieść o Węgrach trwa. Instruktorzy żartują, dzieląc "z pod ziemi" wyciągniętym ciastem i uchronionymi z kolacji resztkami kanapek. O świcie pada nadal. Grupa nieco strasznych harcerzy wyrusza, mimo to, na wycieczkę do Kolobrzegu. Biorą prowiant i upychają w jeepie, który ma chyba wewnątrz z gumy. Pozwala się też uruchomić. Do ósmej mało kto, poza służbowymi, wylania się z namiotów. Miejsce hotelowe w reprezentacyjnej "dziesiątce" zostają zwolnione. Państwo Barkani decydują się jechać do Gdańska odrobinę wcześniej. A w obozie same straty. Deszcz zgasił "wieczny" ogień. Mokra flaga smutno zwisa z masztu. Śniadanie bardzo się spóźniło. W końcu pojawiła się chuda, ciemna zjawa – Stalowy. Jest zasmucony wyjazdem węgierskich gości. Przytula pozostawioną poduszczkę. Pada. Nawet kawa podana w "blaszaku" i na werblu nie zachęca do wyjścia z namiotu. Ściana mokrego deszczu. Zastępy przyswajają "teorię" czyli historię drużyny, harcerstwa i wymagań na stopnie. Stalowy nie zgadza się na wyjście zastępu na zaplanowany biwak. Chłopcom pogoda nie przeszkadza i próbują protestować. Rację musi mieć jednak komendant. Po południu jakiś pociąg podobno jedzie jednak do Łodzi. Do Jastrowia (najbardziej stacji, gdzie się taki pojazd zatrzymuje) z nowym towarzystwem podróży dojeżdżamy pożyczonym polonezem, którym w nocy dotarli tu "starsi" druhowie zwabieni mirażem pogodnego weekendu.

Tuż przed północą, spóźniony pośpieszny dalekobieżny zatrzymuje się na stacji Łódź – Kaliska. Koniec z wyjazdami w tym sezonie!

Baratsag nr 63 ~ Wrzesień 1999

E. RAJD ŚLADAMI DAWNYCH BOHATERÓW.



Delegacja Drużyny na zamku w Borsi na Słowacji.

Zaproszenie od drużynowego 16 Drużyny Skautów im. Stefana Batorego z Szilagyssomló (obecnie Simleu-Silvanei w Rumunii) otrzymaliśmy jeszcze w 1998 roku. Niestety wówczas, z różnych przyczyn, nie mogliśmy pojechać. Udało się to natomiast 23 września 1999. W składzie grupy znaleźli się Przemek i Darek (wyróżnieni w ramach Studium Wiedzy o Węgrzech uczniowie XXXV LO im. Króla Stefana Batorego), oraz harcerze z XIII ŁDH im. gen. Bema: Borsuk, Gutek, Krystian i Kukulka. Funkcji tłumacza podjęła się p. Zofia, dla której ta wyprawa odbyła się niemal w 60-rocznicę jej pierwszego przekroczenia granicy węgierskiej (wraz z oddziałami wojska

polskiego we wrześniu 1939 roku).

Rajd podzielono na kilka etapów, ze względu na odległość dzielącą Łódź i Szilagyssomló. Pierwszy etap zakończył się oczywiście w Borsi. Zamkowe duchy nie straszyły nas w nocy z tego tylko powodu, że podczas chłodniejszej pory roku lepszy jest internat w Vinniczkach. W zamku byliśmy od rana. Pan Jeno Hajdu (prezes borszańskiego Towarzystwa im. Fr. Rakoczego II) zapoznał z historią zamku i rodziny Rakoczich. Wyremontowane sale robią coraz większe wrażenie, jest coraz więcej eksponatów. Pozwala to mieć pewność, że zamek odzyska swoje znaczenie na mapie historycznych zamków regionu. Po przekroczeniu granicy węgierskiej podziwialiśmy górę Tokaj, ujście Bodrogu do Cisy, Debreczyn i ciągnąca się kilometrami pusztę.



Wybraliśmy trasę przez Oradeę. Pierwsze kontakty z przedstawicielami rumuńskiej władzy nie były najsympatyczniejsze. Wytrwale jednak zmierzaliśmy w kierunku Kolozsvaru. Tuż przed nim skręciliśmy ku celowi - Szilagyssomló.

Jechaliśmy właściwie zgodnie z mapą. Upewnialiśmy się tylko u napotkanych ludzi, ale informacje bywały sprzeczne (raz 30 km, a raz 60 km).

Mijaliśmy osiedla większe i mniejsze, ale w jakimś momencie i tych zabrakło. W górach zapadł zmierzch. Pojawił się pesymizm, czy aby na pewno te sto kilometrów uda się pokonać przed nocą. Zatrzymani na rozwidleniu dróg ludzie z jadącego z naprzeciwka samochodu, potwierdzili kierunek jazdy, chociaż twierdzili, że leśna droga odbijająca na lewo jest krótsza. Wybraliśmy tę zgodną z naszą mapą. Przemierzaliśmy kolejne kilometry w szarzącym zmroku – zakręty i pojazdy z lesisto- kamiennymi poboczeniami. W mijanych wsiach na drogach pojawiały się wracające z pastwisk płowe krowy i bawoły, defilujące środkami, wozy i rowerzyści bez oświetlenia. To wymuszało wolniejsze tempo. Oznakowanie szos też było słabe. Stąd i pojawiająca się niepewność, co do prawidłowości trasy. I brak wiary naczelnego tłumacza, że to naprawdę tylko 150 km. Po dziewiątej na drogowskazach znaleźliśmy nazwę naszej miejscowości. Około dziesiątej byliśmy na przedmieściach, bo nie była to wbrew naszym przypuszczeniom osada, tylko spore miasto. Porozumiewanie się po węgiersku napotykało trochę trudności. Zabawne nieporozumienie spowodował kierowca znający trochę włoski, który przekonany o łatwości „dogadania” się z miejscowymi dziewczynami wkrótce musiał skapitulować. Skończyło się na kilkunastu dodatkowych kilometrach, bo ulica nie była ta. A wszystko z powodu podobnego brzmienia rumuńskiego i włoskiego. Poblądziliśmy jeszcze trochę i kiedy przestaliśmy pytać o ulicę a zaczęliśmy o Janosa Erdeia, naraz zrobiło się wszystko proste. Młodzież wskazała kierunek i on też pojawił się przy samochodzie (szedł dzwonić na pocztę zaniepokojoną naszym opóźnieniem). Powitanie było serdeczne i takie, jak gdybyśmy znali się od lat. A przecież mieliśmy możliwość tylko krótkiej rozmowy w Budapeszcie w 1996 roku a później były tylko listy. To jest coś niezwykłego, kiedy między zupełnie nie znającymi się ludźmi powstaje nic porozumienia, akceptacji, otwartości, w atmosferze radości ze spotkania i gościnność otwierająca przybyłom cały dom.

I nikt się nie dziwi, nikt nawet o tym nie myśli. W takim momencie po prostu wiesz, że trafiłeś do przyjaciół i za takich ich uważasz. Zdziwienie mógłby wywołać fakt potrzebny uzasadnienia tego. Nikomu nie jest jednak to potrzebne. Po krótkich informacjach, wyjaśnieniach i etapie tłumaczeń, pojawiają się skauci z drużyny „Batorego” i zabierają naszych do swoich domów. Długi dzień kończą tak samo długie kolacje. Przydatne były zarówno słowniki, jak i umiejętność posługiwania się angielskim. Nas też spotkało zaskoczenie, kiedy podczas kolacji pojawił się młody człowiek (nauczyciel angielskiego) Christofer, który przyjechał z USA, ale swój rodowód ma gdzieś na Sardynii i w Niemczech, był też jako wolontariusz w Polsce, a rumuński poznaje z pomocą ślicznej Węgierki. W sobotę po śniadaniu zwiedzaliśmy miasto. Tu urodził się w znamienitym rodzie Batory książę Stefan, późniejszy król Polski. Fotografowaliśmy pozostałości zamku Batorych. Byliśmy w kościele, gdzie został ochrzczony i gdzie odbędzie się główna część uroczystości DNI BATOREGO. Oglądaliśmy tablicę poświęconą gen. Bemowi i uczestnikom walk z 1848-9 roku.

Wędrowaliśmy uliczkami starego miasta. Przyłączali się do nas starsi mieszkańcy uzupełniający opowieść Janosa. Przy szkole, do której uczęszczają młodzi Węgrzy, czekały samochody i wyruszyliśmy w nieznaną (Janos zapowiedział, że to będzie niespodzianka). Pojechaliśmy w góry. Po drodze mijaliśmy wsie różniące się zabudową, wewnętrznym porządkiem i samym wyglądem mieszkańców. Barwne ubiory kobiet z reguły świadczyły o ich rumuńskiej narodowości. Obejścia uporządkowane i zadbane - były najczęściej węgierskie. W nazewnictwie też było wiele węgierskich słów, świadczących o ich dawnych korzeniach. Janos milczał i w ten sposób mogliśmy podziwiać mijane krajobrazy. Niespodzianka faktycznie była. Wspólnie ze skautami z drużyny Janosa dotarliśmy do dawnego obozowiska legionów rzymskich. Sama osada zachowała się w dość dobrym stanie i daje wyobrażenie o ówczesnym życiu i poziomie techniki. Nadal istnieje droga wiodąca do bramy strzeżonej niegdyś przez legionistów. Nadal jest studnia, pozostałości łaźni, amfiteatr. Są miejsca, gdzie przygotowywali się gladiatorzy. Z okolicznych wzgórz akwedukty doprowadzały wodę. Miejsce samego obozowiska pozwalało na dokładną obserwację odległych przestrzeni. Dzisiaj to tylko dogodny punkt dla podziwiania krajobrazów, kiedyś - miało i inne znaczenie.

W powrotnej drodze schodzimy poniżej wzgórza ku widocznemu w dali bajorku z nurzającymi się w nim bawołami. Dla nas to prawie „safari”. Fotografujemy leżące w wodzie zwierzęta zupełnie z bliska (pod czujnym okiem pastucha neutralizującego gwałtowniejsze odruchy zwierząt słownie i kijem, bo chyba nie do końca



im generała Józefa Bema

udomowio
Niedzieln
Stowarzys
kościelowi
przy wtór



trakcie, jako współcebraniec występowa
uhonorowano centralnie umiejscowionymi krzesłami. Najbardziej wzruszającym momentem (zupelne zaskoczenie!) było wejście podczas mszy dużej grupy harcerzy. Odśpiewali najpierw hymn węgierski a następnie w całości, po polsku – nasz. Wzruszenie było ogromne. Po mszy, na placu przykościelnym, przy pamiątkowej tablicy wmurowanej wcześniej, odsłonięto popiersie Stefana Batorego. Na uroczystości pojawił się polski konsul z Bukaresztu pan M. Olender. Byli także inni znamienici goście – węgierski poseł do parlamentu, przedstawiciele władz, burmistrz z Nyibator. Wiązankę kwiatów złożyli wspólnie harcerze z Drużyny im. Batorego i XIII ŁDH.

Później był przemarsz wszystkich zebranych na miejsce festynu, którym był dawny zamek Batorych. Towarzyszyła nam barwna orkiestra oraz młodzież inscenizująca legendę o odważnym księciu ratującym dziewicę od niechybnej śmierci w paszczy smoka (stąd trzy kły na rodowych tarczach Batorych). Na festynie trwał popis defilującej orkiestry (śliczne dziewczęta w mini spódniczkach), ponowna parada inscenizatorów na koniach, inne występy oraz sprzedaż ceramiki z Korond. Nasze zbiory zostały wzbogacone – nawet gdyby do granicy trzeba by było wracać o przysłowiowej wodzie, to i tak wóz z czarnymi bawołami byłby mój. Dzięki przytomności towarzyszących nam pań uniknęliśmy długiego przemarszu przez całe miasto (a upał był iście letni!). Nasza młodzież cały przemarsz zaliczyła razem z węgierskimi kolegami przy wtórze bębnow, trąb i innych blaszanych zakłóaczy spokoju. Następnie uczestniczyliśmy w uroczystym obiedzie z toastami i przemówieniami. Nastal czas pożegnania. To było trudne zadanie. Uściski, adresy, jeszcze idą w ruch słowniki, ostatnie zdjęcie. Za zakrętem ulicy ginie nam z oczu grupa skupiona wokół Janosa.

Baratsag nr 69 ~ Wrzesień 2000

F. ŚWIĘTO WĘGRÓW

13 marca 2000 roku, a więc tylko z niewielkim wyprzedzeniem, obchodziliśmy Święto Narodowe Węgier. W Łodzi gościł w tym dniu Ambasador Republiki Węgier pan Ivan Baba, Attache ds. obrony – płk Laszlo Nagy oraz I sekretarz – pan Andras Rajki. Gośćmi honorowymi były również władze oświatowe – dyrektor Wydziału Edukacji pan Michał Machejek, inspektor Wydziału Edukacji pani Jadwiga Tęcza, przewodnicząca komisji edukacji i kultury fizycznej Rady Miejskiej pani Izolda Myślińska. Przybyły pocztą sztandarowe XXXV LO i Batorego i XIII ŁDH im. gen. Bema. Gości i zebranych witają: dyrektor 13 Gimnazjum im. gen. Bema – pani Jadwiga Lewandowska i dyrektor SP nr 84 im. Bema – pani Jolanta Rychlik. W swym wystąpieniu Pan Ambasador zawarł wszystkie ważne, w tysiącletniej historii przyjaźni naszych narodów, zdarzenia i fakty. Decyzją zarządu TPPW wyróżniono w br Honorowymi Odznakami TPPW: Wojewodę Łódzkiego – p. Michała Kasińskiego, oraz kol. Kol: K. Lange i F. Wolską („Frywolotki,”) Wiesławę Kopytek (dyrektora XXXV LO im. Batorego), hm. Krzysztofa Łęckiego (drużynowego XIII ŁDH im. gen. Bema).

G. ZAPROSZENIE

Łódź, dnia 27 marca 2000 roku

Szanowny Pan Hajdu Jenó

Zarząd Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Węgierskiej w Łodzi wspólnie z XIII Łódzką Drużyną Harcerzy im. gen. J. Bema, serdecznie zapraszają do Łodzi na międzynarodowy zlot młodzieży w dniach 12-14 maja 2000 roku delegację Waszego Towarzystwa (opiekun i 4 chłopców). Oczekujemy Was we czwartek 11. maja br (w godzinach popołudniowych) w siedzibie TPPW przy ul. Traugutta 8. Program na 12 i 13 maja podamy telefonicznie (w chwili obecnej brak jeszcze szczegółowych informacji w zakresie imprez dni Łodzi). Wyjazd grup przewidywany jest na 14. maja po południu. Możliwy jest inny wariant. Organizator



10 Lecie XXXV Liceum
Ogólnokształcącego w Łodzi im. Króla
Stefana Batorego. (W tle poczt
sztandarowy Drużyny) Przemawia
Ambasador Republiki Węgier Pan
Tomas Katon były Przewodniczący
Węgierskiego Związku Skautów
generała Józefa Bema

H. INNE SPOTKANIA

Drużyna w ostatnich dwóch latach była gospodarzem następujących spotkań:

13.03.1997 – I Sekretarza Ambasady Republiki Węgier Pana Andreasa Rajki w harcówce Drużyny.
(Nagranie przez I program TVP programu o działalności Drużyny).

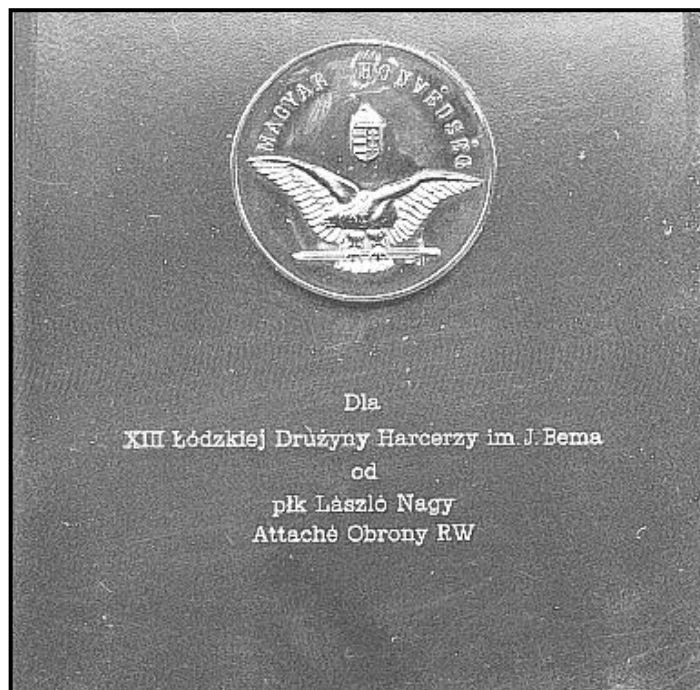
11.12.1998 - I Sekretarza Ambasady Republiki Węgier Pana Andreasa Rajki w harcówce Drużyny.

27.04.1999 – Attache Obrony Ambasady Republiki Węgier płk. Laszlo Nagy i I Sekretarza Ambasady Pana Andreasa Rajki.



*Attache Obrony Republiki Węgier
płk. Laszlo Nagy w harcówce Drużyny,
wymiana doświadczeń dotyczących NATO i
prezentów.*

19.03.2001 – Delegację Państwową Republiki Węgier z Ambasadorem Pełnomocnym i Nadzwyczajnym Panem Tomaszem Katonem, I Sekretarzem Ambasady Panem Andreasem Rajki, Wojewodą Csngradu, Przewodniczącym Zgromadzenia Województwa Csngrad, Wojewodą Łódzkim Panem Michałem Kasińskim, Prezydentem Miasta Łodzi Panem Sylwestrem Pawłowskim. Wspólne posadzenie 4 drzew przyjaźni Polsko Węgierskiej w Parku Julianowskim.



Dar Attache Obrony RW dla Drużyny

